

## Atlantyda

Zobaczyłem diabła. Dreszcz przeszedł moje złane potem ciało, gdy jego ciemne oczy spojrzały wprost na mnie, przesiąknięte złem i rządzą krwi. Pusty, wyzuty z emocji wyraz twarzy, zapadnięte policzki i napuchnięte od łez powieki. Bezsilnie próbowałem złapać oddech. Czułem, że kontroluje każdy mój ruch, każde uderzenie wystraszonego serca. Wyczerpany do granic możliwości, wymierzyłem sobie ostatni cios i odwróciłem głowę od lustra. Zobaczyłem diabła w swoim odbiciu.

Skonsternowany odsunąłem od siebie stosik bladoniebieskich kartek. Miałem już serdecznie dosyć tego odcienia, który mieszając się z granatową czcionką, coraz to bardziej przypominał mi ocean oddzielający moje życie od normalności. Pięćdziesiąt dwa tygodnie, pięćdziesiąt dwa stosiki. Pięćdziesiąt dwie łzy spłynęły po moich policzkach i brodzie, kapiąc na ciepłą, delikatną dłoń, której chwytałem się zawsze, niczym koła ratunkowego. Gdyby tylko miała w sobie tyle siły, by utrzymać mnie na powierzchni. „Nie, to ja muszę być silny. Muszę wyciągnąć ją z odmętów, zamiast zatapiać raz po raz.” Wbiłem się głębiej w twarde fotel i rozejrzałem dookoła. Lazurowe ściany, błękitne linoleum, zasłony w odcieniu akwamaryny. Boże, jak ja nienawidziłem niebieskiego. Wracalem tu jednak dzień w dzień. Było w tym pomieszczeniu coś, co sprawiało, że spędzałem tutaj każdą wolną chwilę przed i po szkole, w weekendy i święta, siedząc w niezbyt wygodnym fotelu i wpatrując się jak zaczarowany w białe łóżko na tle tych niebieskich okropności. Wpatrując się w nią.

Są takie dni, które zmieniają wszystko. W jednej chwili cały obraz świata, jaki do tej pory miałeś przed sobą roztrzaskuje się na niezliczoną liczbę fragmentów, formując coś zupełnie nowego. Kiedy poznałem Mirę, wiedziałem, że mój dzień nadszedł.

Zupełnie jakbym dopiero tamtego dnia naprawdę zaczął żyć. To, co działo przed nią, było tylko nędzną tego imitacją.

Spędzałem wyjątkowo nudne popołudnie w galerii sztuki, stojąc z notatnikiem przed kolejnym ze szpetnych obrazów, przedstawicieli tak zwanej „sztuki nowoczesnej”, gdy usłyszałem obok siebie dziewczęcy głos.

-Co o tym myślisz?

-Hmm... Kiepski, powiedziałbym nawet, że beznadziejny. Gdybym chciał, mógłbym namalować coś takiego bez odrobiny wysiłku.

-Ale nie namalowałeś –odpowiedziała ironicznie rozmówczyni.

-Lubisz sztukę nowoczesną? –zdziwiłem się.

-Ależ skądże –odparła natychmiast nie ukrywając wstrętu. –Wymyślono ją, żeby dowartościować ludzi pozbawionych talentu artystycznego.

Odwrociłem rozbawiony głowę, chcąc przyjrzeć się dziewczynie i zaskoczony ujrzałem eteryczną istotę o uśmiechu tak jasnym, że niemal oślepiającym swym pięknem. Spojrzała na mnie swoimi bezdennymi oczami i było po wszystkim. Umarłem.

Z zamyślenia wyrwała mnie pani Róża, która jak co dzień przyszła przynieść mi coś do jedzenia i na podstawie objaśnień lekarzy wytłumaczyć, co dokładnie oznaczała zawartość bladoniebieskich kartek. Od trzystu sześćdziesięciu dni mówiła mi dokładnie to samo. Ale nie tym razem. Opadła na fotel obok mnie.

-Chyba powinienes już iść –orzekła łamiącym się głosem, nie patrząc mi w oczy.

-Co to znaczy?

-Jutro minie rok, odkąd Mira jest w śpiączce –wyszeptała. –Szanse na to, że się obudzi są tak znikome, że do zera mają dużo bliżej niż do jakiegokolwiek liczby,

która by cię uszczęśliwiła. Myślę, że nie ma już sensu, żebyś się męczył. Nie marnuj swojego życia czekając na coś, co być może nie nadejdzie.

Pięćdziesiąta trzecia Iza popłynęła w dół.

-Nie może pani tak mówić! Zawsze jest nadzieja... -walczyłem.

-Och, Izaak. Jesteście razem ponad dwa lata, ale już od roku wasz związek opiera się jedynie na tym, że siedzisz obok niej, nie mając szans na uzyskanie odpowiedzi na pytania, które zadajesz. Nie udawaj, że będziesz znajdował w nieskończoność siłę, by się z tym pogodzić. Daj sobie spokój, idź już.

I tak umarłem po raz kolejny, wychodząc. Nie była to jednak śmierć przyjemna. W jednej chwili szybowałem wśród chmur, w następnej już zwiąłem się w bezlitosnej męce na twardym gruncie.

Minął miesiąc, a wciąż nie byłem w stanie podnieść się po strasliwym upadku, jaki zafundował mi los. Nie potrafiłem na siebie patrzeć. Nie jadłem, nie spałem, nie wychodziłem z domu. Patrząc w lustro, widziałem tam tylko zło. „Jestem potworem” powtarzałem sobie „powinienem się zabić”. Chciałem to zrobić, ale nie potrafiłem.

Wtedy właśnie przyszedł list. W niebieskiej kopercie, zaadresowany do mnie, mógł pochodzić tylko z jednego miejsca. Otworzyłem go szybko, wyciągając kartkę i kawałek ozdobnego pergaminu, jakiego kiedyś używała Mira. Przebiegłem wzrokiem po notatce. Była od męża pani Róży, który postanowił podarować mi coś, co miał już od dłuższego czasu, ale wcześniej nie był pewien, kiedy będzie najlepszy moment, bym to zobaczył. Dopiero niedawno zrozumiał, że nie będzie innej okazji. Odłożyłem kartkę i wziąłem do rąk pergamin. Pokryty był starannym pismem Miry, kilkoma zdaniem przeznaczonymi dla mnie. Zatrzęśłem się z emocji i przystąpiłem do lektury.

„Obiecałam Ci, że nigdy Cię nie opuszczę, że będę przy Tobie, zawsze wtedy, gdy będziesz mnie potrzebował. W tej chwili sprawa jest trochę skomplikowana i czuję się z tym naprawdę beznadziejnie. Nie ma sposobu, żebym zatrzymała Cię blisko siebie na zawsze, ale pozwól mi mieć Cię choć jeszcze jeden moment. Jesteś moją utopią, moją Atlantydą. Choćby nasza miłość zatonała, nigdy nie zaginie pamięć o niej. Kocham Cię, Izaaku.”

Przeczytałem liścik ponownie, a potem jeszcze raz, a potem jeszcze kilkanaście. W końcu, gdy kartka była już tak mokra od łez, że wszystkie słowa zniekształciły się, uniemożliwiając odszyfrowanie kryjącego się za nimi przesłania, zerwałem się gwałtownie z krzesła, przewracając je z hukiem i poszedłem do lustra, chwyciłem ramę oburącz, odrywając ją od ściany, po czym rzuciłem ją na podłogę tuż obok krzesła. Z pękniętej tafli spojrzało na mnie moje odbicie. W niczym nie przypominało ono teraz diabła. Patrzyłem na głupca, który wyrzekł się miłości z powodu swojego tchórzostwa. Patrzyłem na oszusta, który nie dotrzymał swojej części obietnicy, gdy Mira składała swoją. Przyrzekł przecież, że będzie kochał za nich oboje, gdy ona nie będzie mogła. Zdobył jej serce, a nie zaopiekował się nim należycie. Teraz już nigdy nie otoczy tych dłoni swoimi, już nigdy nie będzie miał szans i nadziei na spojrzenie w oczy w jedynym ładnym odcieniu niebieskiego.

Biegłem. Biegłem tak szybko, jak tylko potrafiłem. Nie rozglądając się na przejściach, nie zważając na przeszkody. Przez ulice, trawniki, skrzyżowania i parki. Biegłem. Zaciskałem pięści tak mocno, że spod wbijających się w skórę paznokci spływała mi czerwona stróżka krwi. W jednej z tych pięści kurczowo trzymałem skrawek papieru. Mój list. Było tam tylko sześć słów, trzydzieści trzy litery, pięć spacji, jeden przecinek i kropka.

„Atlantydo, nigdy nie pozwolę Ci zatonać.”

